

Rozmowa Profesora Grzegorza Nowaka z Profesorem Michałem Sachanbińskim – wybitnym mineralogiem, geochemikiem i gemmologiem

Prof. dr hab. Grzegorz Nowak (G.N.): Panie Profesorze, jest Pan wybitnym mineralogiem i geochemikiem od wielu lat związanym z Uniwersytetem Wrocławskim. Wraz z czytelnikami *Przeglądu Geologicznego* chciałbym jednak poznać Pana Profesora (ryc. 1) z mniej znanej, prywatnej strony, proszę zatem o garść informacji na temat pańskiego hobby i zainteresowań niezwiązanych z geologią.

Prof. dr hab. Michał Sachanbiński (M.S.): W młodości moją pierwszą pasją była fizyka i to fizyka jądrowa – a to dlatego, że w szkole średniej w Żarach miałem znakomych nauczycieli przedmiotów ścisłych, a fizyka była nauczana na bardzo wysokim poziomie. Zresztą na początku lat 50. XX w. popularyzacja tej dyscypliny naukowej była bardzo modna.

Później któregoś dnia w moim liceum pojawił się nowy nauczyciel geografii – profesor Władysław Karwiński. Pochodził z Wilna, gdzie przed wojną był asystentem na Uniwersytecie Wileńskim. Można powiedzieć, że był zakochany w geologii. Na jego prośbę urządzono w szkole gabinet krajoznawczy. Ówczesny dyrektor liceum przeznaczył na ten cel salę sportową, w której umieszczono między innymi makietę Gór Żarskich. W sali tej profesor Karwiński wprowadzał nas w arkana geologii i tak zaczęły się moje zainteresowania tą nauką.

Po maturze w 1956 r. zostałem wytypowany na studia z zakresu fizyki jądrowej i wraz z innymi maturzystami z całej Polski tworzyliśmy 10-osobową grupę przeznaczoną do studiów w Związku Radzieckim, a w przyszłości mieliśmy znaleźć pracę w planowanej wtedy polskiej elektrowni jądrowej. Jednak wydarzenia Czerwca 1956 r. (strajki i krwawo stłumione protesty uliczne w Poznaniu) spowodowały, że podjęto decyzję, aby Polska w najbliższym 20-leciu nie budowała elektrowni atomowych. W związku z tym stwierdzono, że nie zostaniemy wysłani na studia z fizyki jądrowej, w zamian zaproponowano nam naukę fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Moskiewskim. Doradzono mi wówczas, że taki kierunek lepiej jest studiować na Uniwersytecie Warszawskim. Niemożność studiowania fizyki jądrowej w ZSRR skłoniła mnie do pozostania w kraju i wybrania drugiej miłości, czyli ...geologii. Później zrodziło się we mnie zamiłowanie do kolekcjonerstwa minerałów i monet, a na końcu pokochałem koty.

G.N.: Studiował Pan na przełomie lat 50. i 60. XX w. To był czas rozkwitu życia studenckiego. Czy pamięta Pan, co Pana szczególnie interesowało podczas studiów?

M.S.: Pamiętam, jak stałem się speleologiem. Wciągnął mnie w to Piotr Wojciechowski, uznany pisarz i geolog, który w czasach studenckich chodził z Anną German. Kiedyś pojechaliśmy całą ekipą do Wojcieszowa w Górach Kaczawskich. Była z nami Ania German i jej korpulentna koleżanka. Piotr zaproponował, że pokaże nam



Ryc. 1. Profesor Michał Sachanbiński. Wszystkie fot. G. Nowak

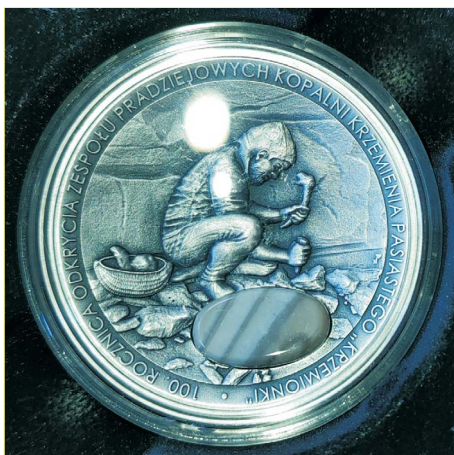
jaskinię i nauczył, jak się do niej wchodzi. Wejście było wąskie, przeciskaliśmy się po kolei. W końcu wszyscy znaleźliśmy się w środku, ale przy wyjściu okazało się, że koleżanka Anny ma problem ze zmieszczeniem się w ciasnej szczelinie. Wtedy Piotr nonszalancko zaproponował, żeby ją tam zostawić, aż schudnie. Anna German bardzo obraziła się na niego za to. W serialu o niej jest zresztą podobna scena do tej, która zaszła w Górach Kaczawskich.

G.N.: Od czego zaczęło się zamiłowanie Pana Profesora do kolekcjonerstwa?

M.S.: Od zbierania znaczków pocztowych. Już w szkole średniej zbierałem znaczki z elementami geologii. Trudno było je w tamtych czasach zdobyć. Nie mieliśmy dostępu do zagranicznych znaczków, a polskich było po wojnie niewiele. Mimo to zbierałem całkiem ciekawą kolekcję.

Później, gdy wspomniany profesor Karwiński ze szkoły średniej wymagał od nas, żebyśmy z każdego wakacji przywozili co najmniej po jednym kawałku skały albo minerału, zwróciłem uwagę na minerały i zaraziłem się ich kolekcjonerstwem. Kontynuowałem ich zbieranie także na studiach we Wrocławiu. Interesowały mnie przede wszystkim minerały polskie. Na szczęście w owym czasie było dostępnych mnóstwo doskonałych książek popularnonaukowych na ten temat. Moja kolekcja rozrastała się i wkrótce pojawiły się trudności ze zmieszczeniem jej w pokoju zajmowanym przeze mnie w akademiku. Wzorem pewnego profesora na wydziale, który podarował swoje zbiory minerałów uczelni na cele dydaktyczne, również i ja postanowiłem w podobny sposób zakończyć swoją pasję gromadzenia minerałów i oddałem je uczelni.

Pracę na Uniwersytecie Wrocławskim zacząłem od stanowiska laboranta, ponieważ profesor Kazimierz Maślankiewicz, ówczesny kierownik Zakładu Mineralogii i Petrografii,



Ryc. 2. Moneta z krzemieniem pasiastym, wybita w 2022 r. z okazji 100-lecia odkrycia kopalni w Krzemionkach Opatowskich



Ryc. 3. Srebrna moneta kameryzowana krzemieniem pasiastym wraz z jej certyfikatem – jest to 20 zł wybitych przez Narodowy Bank Polski w 2012 r. z okazji 90-lecia odkrycia kopalni w Krzemionkach Opatowskich

w ten sposób przez rok wypróbował przydatność do pracy swoich przyszłych asystentów. W laboratorium, którym kierował wtedy magister Andrzej Grodzicki (później profesor, niestety już śp.) pełniłem obowiązki czysto techniczne, takie jak mycie naczyń laboratoryjnych, ale oprócz tego polecono mi, bym zajął się poniemieckimi zbiorami minerałów, przywiezionymi w skrzyniach do Wrocławia. Skrzynie te przechowywano najpierw na ulicy Prusa, gdzie mieściły się katedry geologiczne (obecnie znajduje się tam Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej), a później na ulicy Cybulskiego, gdzie przeniesiono siedzibę katedr. Skrzynie te złożono piwnicach i przez długi czas nikt ich nie otwierał, aż mój mistrz i przełożony profesor Kazimierz Maślankiewicz polecił mi, żebym powoli zaczął je opróżniać i inwentaryzować okazy. Właśnie w tym czasie postanowiłem zająć się kolekcjonerstwem monet kameryzowanych, czyli wysadzanych minerałami, w tym kamieniami szlachetnymi.

G.N.: W pasji tej zachował Pan Profesor zatem jakiś związek z mineralogią. Czy to są monety okolicznościowe?

M.S.: W większości tak, mam na przykład w zbiorach monety wybijane przez Narodowy Bank Polski z okazji kolejnych jubileuszy odkrycia neolitycznej kopalni w Krzemionkach Opatowskich (ryc. 2 i 3). W obiegu pojawiają się monety okolicznościowe z różnego rodzaju minerałami. Biją je także dwie inne mennice poza Narodowym Bankiem Polskim, ale ich nazw nie wymienię, żeby nie reklamować.

G.N.: Ale to są polskie mennice?

M.S.: Tak polskie. Zarówno te mennice, jak i NBP wydają serie monet – na

przykład z bursztynami (ryc. 4), które są najpopularniejszym materiałem używanym przez polskich emitentów takich monet. To zrozumiałe, tym bardziej że przecież Gdańsk jest uznawany za światową stolicę bursztynu. Chociaż ja bym wolał, żebyśmy za króla polskich kamieni uznali nasz rodzimy chryzopraz, unikalny, dolnośląski skarb. Jedną z tych mennic wydała także serię Skarby Polski (ryc. 5).



Ryc. 4. Moneta z bursztynem – seria NBP Szlak Bursztynowy



Ryc. 5. Moneta z rubinem – seria Skarby Polski

→

Ryc. 6. Moneta wydana w Republice Kamerunu z okazji 150. urodzin Marii Skłodowskiej-Curie, kameryzowana imitacją radu

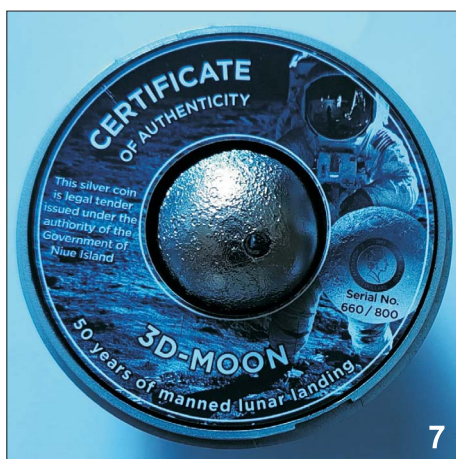
↓

Ryc. 7. Moneta kameryzowana kamieniem z Księżyca, wydana z okazji 50-lecia załogowego lądowania na Srebrnym Globie

Ryc. 8. Moneta wydana w 2020 r. z okazji 150. rocznicy wybudowania mostu Karola w Pradze

Ryc. 9. Srebrna moneta z fragmentem meteorytu Viñales, który spadł na Kubie, wybita w 2020 r. na Wyspach Cooka

Ryc. 10. Moneta ozdobiona obrazem Adele Bloch-Bauer, namalowanym przez Gustava Klimta



G.N.: Czy ma Pan Profesor w swojej kolekcji jakieś perełki?

M.S.: Ciekawostką jest w niej między innymi moneta wydana w Republice Kamerunu z okazji 150. urodzin Marii Skłodowskiej-Curie. W monecie tej umieszczono rad, a właściwie imitację radu (ryc. 6). Prawdziwą perełką w moich zbiorach jest też moneta z kamieniem z Księżyca (ryc. 7), o średnicy 26 mm. Okaz ten ma oczywiście certyfikat autentyczności. Posiadam także interesujące monety z serii skarby Australii.

G.N.: Jakie kraje można uznać za wiodące, jeśli chodzi o emisję takich monet?

M.S.: Jest to przede wszystkim Australia, która wydała najpiękniejsze i najbardziej wartościowe monety – nawet z diamentami.

G.N.: Jak duża jest kolekcja Pana Profesora?

M.S.: Dotychczas zbierałem kilkadziesiąt monet kameryzowanych. Staram się kupować monety emitowane w Polsce. Jest to coraz trudniejsze zadanie, bo ich ceny wciąż rosną. Dodam, że nie zbieram monet kameryzowanych tak zwanymi kamieniami Swarovskiego, bo są to syntetyczne kamienie. Mnie zaś interesują autentyczne minerały (ryc. 8–10).

G.N.: Czy poza kameryzowanymi monetami zbiera Pan Profesor także inne skarby?

M.S.: Od lat staram się gromadzić wartościową literaturę popularnonaukową dotyczącą geologii i mineraologii. Z sentymentem patrzę na półkę z dawnymi wydaniem i porównuję z tym, co ukazuje się obecnie. Trudno dziś o bardzo dobrą książkę o tej tematyce. Mamy jednak do wyboru pozycje popularnonaukowe i specjalistyczne. Oba rodzaje mają swoją wartość, co oczywiste. Zresztą także w literaturze pięknej pojawiają się wątki związane z minerałami. Przykładem może być powieść Antoine'a de Saint Exupéry'ego *Nocny lot*, w której opisał inspektora lotnictwa prezentującego swoją kolekcję minerałów i tak oto wytłumaczył jego uczucie do nich: *Jak zresztą wszyscy ludzie miał swoją drobną pociechę, z uczuciem słodkiego wzruszenia, wydobłał z dna walizki mały woreczek starannie owinięty. Poklepywał go jakiś czas w milczeniu, wreszcie rozwarł dłoń. – Przywiozłem to z Sahary – inspektor aż się zarumienił uczyniwszy to wyznanie. W drobnych, czarnych kamyczkach, mówiących o świecie tajemnic, znajdował pocieszenie po swoich zawodach, niepowodzeniach małżeńskich i całej szarzyźnie życia.*

Minerały były popularne już bardzo dawno temu. W gazetach z przełomu wieków XVI i XVII, czyli z epoki podbojów kolonialnych, można trafić na artykuły o tym, że na salonach paryskich najmodniejszym tematem są minerały przywożone z podbitych krajów. Rubryki plotkarskie były wypełnione doniesieniami o rozmowach dam o kamieniach szlachetnych albo panów – szerzej – o minerałach.

Na Dolnym Śląsku kolekcjonerstwo minerałów było bardzo popularne już u schyłku XVII w. Urządzano wtedy gabinety przyrodnicze, zwłaszczą mineralogiczne. Wśród śląskich kolekcjonerów minerałów było wielu członków

pierwszych rodów śląskich, książąt, hrabiów, baronów, ale także przedstawiciele niższego stanu rycerskiego oraz patrycjatu i nobilitowanego mieszczaństwa.

Po II wojnie światowej przybyli na te ziemie osadnicy ze wschodu, np. z naftowego Zagłębia Boryslawskiego, i samorzutnie promowali ideę kolekcjonerstwa minerałów (choć czasami też z inspiracji lokalnych zbieraczy). Wielu z nas, którzyśmy przyjechali ze wschodu, nie miało pojęcia o tej ziemi, tej naszej nowej ojczyźnie. My, geolodzy, uważaliśmy, że też mamy pewną rolę do odegrania – musimy przekazać mieszkańcom Dolnego Śląska wiedzę o bogactwach i przeszłości geologicznej tej ziemi. Sporo dobrego zrobił w tej dziedzinie paleobotanik Eufrozyn Sagan z Wałbrzycha – choć sam nie zbierał minerałów, to zarażał tą pasją innych. W 1958 r. z jego inicjatywy powstało młodzieżowe koło geologiczne, które zapraszało na prelekcje naukowców, na przykład profesora Stanisława Małkowskiego. Nawiązało ono współpracę z Towarzystwem Miłośników Nauk o Ziemi, zgrupowanym wokół Muzeum Ziemi w Warszawie. Wspólnie organizowano wystawy i spotkania kolekcjonerów minerałów. Później utworzono oddział Towarzystwa Przyjaciół Nauk o Ziemi. Co ciekawe, wśród miłośników minerałów z rejonu wałbrzyskiego przeważali górnicy; byli też nauczyciele, urzędnicy i uczniowie. Geolodzy stanowili nieliczną grupę, ponieważ w ogóle wówczas było ich niewiele. Tak się rozkręcał ruch zbieractwa.

Wielkie giełdy minerałów odbywały się kiedyś w Wałbrzychu, który nazywano miastem poszukiwaczy skarbow i kolekcjonerów. I to właśnie w Wałbrzychu zrodziła się idea Lwóweckiego Lata Agatowego. Obecnie największa giełda minerałów w Polsce odbywa się w Lwówku Śląskim i jest ona wymieniana w pierwszej trzydziestce najlepszych giełd minerałów na świecie. Impreza ta jest połączona z wystawami minerałów, gości co roku ponad 200 wystawców minerałów, z tego ponad 20 z zagranicy, a zaczęło się od tego, że na rynku w Lwówku Śląskim zaprezentowało się trzech wystawców. Łącząc działalność naukową z zainteresowaniami od 25 lat jestem związany z tą imprezą.

G.N.: A zatem nie tylko zbiera Pan Profesor monety, ale również materiały poświęcone historii kolekcjonerstwa minerałów na Dolnym Śląsku. Wracając do kolekcji monet, proszę mi jeszcze powiedzieć, w jaki sposób je Pan pozyskuje? Czy kolekcjonerzy są w jakiś sposób ze sobą powiązani? Informują się Państwo nawzajem? Czy są jakieś wydawnictwa? A może to się odbywa w zupełnie inny sposób?

M.S.: Ja jestem samotnikiem – nie uczestniczę w giełdach kolekcjonerów. W mennicach już mnie znają i kiedy mają coś nowego, to dzwonią do mnie. Zdarza się, że muszę odmawiać zakupu, np. gdy są oferowane monety z kryształami Swarovskiego. Od czasu do czasu trafiają się cenne rzeczy, najczęściej zagraniczne.

Dawniej rozmawiałem o monetach z profesorem Waławem Ryką z ówczesnego Instytutu Geologicznego, Miał on bardzo duży zbiór numizmatyczny. Ja się nieraz śmiałem, że on przyjeżdżał do Wrocławia nie po to, żeby wizytować oddział instytutu, tylko żeby pójść na Rynek do Muzeum Medalierstwa. To był naprawdę wysokiej klasy zbieracz. Nie wiem, co się stało z jego kolekcją.

G.N.: Nawiasem mówiąc, profesor Ryka wiele dobrego zrobił dla Instytutu Geologicznego. W latach 80., kiedy czarne chmury zbierały się nad instytutem, profesor Ryka energicznie walczył o jego utrzymanie i dzięki niemu wyszliśmy obronną ręką z trudnej sytuacji tamtych czasów. Wielką jego zasługą było m.in. przywrócenie instytutowi historycznej nazwy – Państwowy Instytut Geologiczny.

M.S.: Profesora Rykę poznałem na jednym ze zjazdów mineralogicznych zorganizowanych przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Mineralogiczne czyli IMA (*International Mineralogical Association*).

G.N.: A kiedy zainteresował się Pan Profesor kotami?

M.S.: To nastąpiło dość niespodziewanie. Moja żona, która była dziennikarką i wielką wielbicielką kotów, przeprowadziła w latach 70. wywiad z Hanną Gucwińską, z którą zresztą była zaprzyjaźniona. I to właśnie ona podarowała jej mieszańca kota ze żbikiem. Nadaliśmy mu imię Mateusz. Po jakimś czasie koegzystencji miłość do tych zwierząt udzieliła się także i mnie.

Przez swoje złożone geny Mateusz był dość nietypowy. W zasadzie całe nasze życie było podporządkowane temu kotu, a nie były to same przyjemności. Pamiętam na przykład, jak kiedyś przywiozłem z Mongolii skóry. Trafiły na podłogę i miały służyć ozdobie pokoju. Niestety, nasz kot postanowił je zaznaczyć i po tym fakcie nie nadawały się już do niczego. Do dziś zresztą na niektórych podłogowych klepkach widnieją ślady zaznaczania terytorium, które nie dały się niczym usunąć. Nasz listonosz po kilku spotkaniach z nim powiedział, stojąc w drzwiach do naszego domu, że już więcej do nas nie przyjdzie, bo się go boi. Poradzono nam wówczas, żeby go wykastrować. Pojechałem z nim do weterynarza, ale trafiłem na panią doktor, która stanowczo odmówiła wykonania zabiegu. Uważała, że to pozbawi zwierzę jego naturalnych instynktów. W latach 70. XX w. takie zabiegi to była rzadkość, więc w końcu zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

Mateusz był dla nas bardzo ważny i przynosił nam wiele satysfakcji. Jak choćby wygraną w konkursie kotów rasowych i nierasowych we Wrocławiu. Pierwszą nagrodą było wykonanie portretu przez znaną artystkę tamtych lat – Małgorzatę Młodnicką, córkę Artura Młodnickiego, znanego wrocławskiego aktora. Mam ten obraz do dziś.

Później moja żona dowiedziała się, że koty mają lepsze warunki do życia, kiedy nie są same, i pewnego dnia przyniosła do domu kotkę. Nasz żbikowaty Mateusz polubił ją, jednak przyjął rolę dominanta. Można powiedzieć, że trzymał ją krótko, ale też bronił wytrwale i trącał nas łapą, kiedy ją dyscyplinowaliśmy stanowczym tonem. Oczywiście mieli potomstwo, które rozdawaliśmy chętnym znajomym. I, co ciekawe, Mateusz miał zupełnie inne podejście do swoich dzieci niż do partnerki. Małe kocięta mogły z nim robić wszystko, co chciały. Uważam, że był wyjątkowym kotem, mimo że miał geny dzikiego zwierzęcia.

Pewnego razu odwiedził mnie mój kolega. Przyszedł z dwoma córkami, które poszły bawić się z naszym kotem w innym pomieszczeniu. Nagle usłyszeliśmy głośny wrzask, po czym dziewczynki wbiegły do pokoju i poskarżyły się, że kot je podrapał. Jak się później okazało, sprokowały go do tej nieco stanowczej reakcji, uderzając łyzką w łypek.

Albo inna historia. Żona, która zwykle wcześniej ode mnie wracała do domu, zaczęła mnie upominać, żebym przed wyjściem do pracy wyłączał telewizor. A ja przecież rano na ogół nie oglądałem telewizji, bo się śpieszyłem na zajęcia. Zaczęliśmy się zastanawiać, kto zatem włącza telewizor? Sprawa wyjaśniła się przypadkiem, kiedy pewnego dnia zdumieni zobaczyliśmy, że to nasz kot wskakuje na odbiornik i przyciska łapką guzik włącznika. Od tego czasu przed wyjściem z domu zaczęliśmy wyciągać z gniazdka wtyczkę odbiornika.

Ten kot był też w szczególny sposób wyczulony na pieniądze. Z uśmiechem wspominam dziś zdarzenie sprzed lat. Było to tak: pewnego gorącego dnia przyszedł do nas znajomy. Zanim usiadł, powiesił na krześle swoją marynarkę. Zaczęliśmy rozmowę i nagle zamilkliśmy, kiedy dostrzeżliśmy, że kot sięga łapą do kieszeni marynarki i wyciąga z niej banknoty. Ubawiliśmy się, kiedy znajomy powiedział, że: *ciekawie wytresowaliśmy kota*.

Innego razu, gdy wyjechaliśmy na zagraniczne wczasy, a zabranie ze sobą kota było niemożliwe, powierzyliśmy opiekę nad domem i zwierzęciem naszemu innemu znajomemu. Okazało się, że miał ciągoty do alkoholu, a kot tego nie tolerował. Po powrocie z wakacji między książkami znalazłem kilka 100-złotowych banknotów. Zapytałem żonę, skąd u niej pomysł na takie chowanie pieniędzy? Ona zdziwiona powiedziała, że tego nie zrobiła. Zadzwoiłem więc do znajomego, żeby zapytać, co się działo pod naszą nieobecność i usłyszałem, że zdarzało mu się organizować zakrapiane spotkania, po których ze zdziwieniem stwierdzał zniknięcie pieniędzy. I wszystko było jasne – kot wyciągał mu banknoty z kieszeni i upychał je w biblioteczkę.

G.N.: Iloma kotami opiekował się Pan z żoną?

M.S.: Nie licząc tych oddanych znajomym, mieliśmy pięć kotów, a przez długie lata trzy jednocześnie. Doszło do tego w ten sposób, że jedna znajoma zwróciła nam podarowane jej przez nas kocię. Podejrzywałem, że był to spisek uknuty z moją żoną. Żona bowiem uparła się, żeby zostawić jedno maleństwo przy mamie, a ja oponowałem. Gdybym się nie sprzeciwił pomysłom żony, to mielibyśmy dużo więcej kotów. Po negocjacjach wspólnie ustaliliśmy, że trójka wystarczy.

G.N.: Czy wyprowadzali Państwo koty na spacer?

M.S.: Często wyprowadzałem na spacer tego żbikowatego kota. To była sensacja na osiedlu, ale gdy z okolicy zbiegały się wszystkie dzieci, żeby go oglądać, to nie były udane spacery. Z innymi naszymi kotami bywało różnie – niektóre w ogóle nie lubiły wychodzić z domu. Jednemu zrobiliśmy nawet specjalną klatkę na balkonie, żeby korzystał z przestrzeni na świeżym powietrzu.

G.N.: A czym wyróżniał się ten kot z portretu na ścianie?

M.S.: To Dyzio, ostatni kot, który z nami mieszkał (ryc. 11). Nauczyliśmy go, żeby nie chodził po stole. Nigdy też nie położył się na noc do mojego łóżka. Ten kot wyczuwał, kiedy wrócić z podróży do Warszawy, gdzie często bywałem. Wiedział, że o określonej godzinie powinienem wejść do domu i zaczynał się kręcić pod drzwiami. A kiedy



Ryc. 11. Kot Dyzio. Fot. T. Oberc-Dziedzic

żona poważnie zachorowała, to siadał przy niej i chcąc jej ulżyć w cierpieniu, gładził ją łapką. Aż trudno w to uwierzyć. Po śmierci żony traktował mnie tak, jakbym to ja był jego lokatorem. Gdy zdarzało mi się później wrócić do

domu, to odwracał się do mnie ogonem. Dyzio był persem kalifornijskim – kotem z hodowli lecz bez rodowodu.

Kiedy Dyzio był ze mną, podróżowaliśmy wspólnie pociągiem na wakacje. Urlop letni miałem w zwyczaju spędzać nad morzem, w pensjonacie znajomych w Świnoujściu. Uroda Dyzia powodowała, że co chwilę do naszego przedziału zaglądały panie, aby mu się przyjrzeć i go pogłaskać. Było to bardzo miłe doświadczenie. Także i w pensjonacie Dyzio przyciągał panie jak magnes, ustawiały się pod drzwiami mojego pokoju, żeby go pogłaskać. Teraz podróżuję sam i niestety już mnie panie nie odwiedzają.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć jeszcze jedną przygodę, jaką przeżyliśmy z tym żbikowatym mieszańcem Mateuszem. Żona przeczytała w gazecie informację, że w Szczecinie odbędzie się I Krajowa Wystawa Kotów Nierasowych. Było to w latach 70., byliśmy młodzi, i zgłosiliśmy go na tę wystawę. Impreza miała dużą rangę. Międzynarodowemu jury konkursowemu przewodniczyła pani sędzia z Finlandii. Gdy nastąpił czas na pokazanie Mateusza, przyszedł po niego asystent sędziowski, aby go zabrać i ustawić przed obliczem pani przewodniczącej jury. Mateusz zaczął się temu wyraźnie sprzeciwiać. I gdy pani sędzia się do niego zbliżyła, tak nieszczęśliwie machnął łapą, że zaczepił o włosy pani przewodniczącej, które z niej spadły – bo była to peruka. Za ten niecny czyn Mateusz został zdyskwalifikowany, co rozniosło się wśród innych uczestników wystawy i publiczności, a my upokorzeni w pośpiechu opuszczaliśmy halę wystawową. Po tej przygodzie już nigdzie na żadne wystawy z nim nie jeździliśmy.

G.N.: Myślę, że ta ostatnia opowieść o żbikokocie Mateuszu pozwala nam w zabawny sposób zakończyć naszą rozmowę, za którą uprzejmie dziękuję.